

Elia Kazan

układ



1

Ciągle jeszcze nie rozumiem przyczyn mojego wypadku.

Bezustannie wracam myślami do wydarzeń tego dnia — dnia, w którym miałem kraksę — z całą mądrością po szkodzie, uzyskaną w latach późniejszych. Odtworzyłem w pamięci wydarzenia poprzedzające wypadek o kilka miesięcy i prowadzące do niego, które powinny coś wyjaśnić. Lecz ciągle stoję wobec nieprzeniknionej tajemnicy.

Zagadka nie polega na tym, że człowiek, któremu się dobrze wiodło, usiłował odebrać sobie życie. Były powody, dla których ewentualnie mogłem to zrobić. Miałem, jak to się mówi, wszystko, czego dusza zapagnie, mimo to powody do samobójstwa znalazłyby się. Tajemnicą pozostaje dla mnie sposób, w jaki usiłowałem się zabić.

Nie wierzę w duchy. Lecz nawet teraz, kiedy jestem całkowicie innym człowiekiem i prowadzę zupełnie inne życie, nawet teraz, kiedy zastanawiam się, co się właściwie wówczas stało, zadaję sobie jednocześnie pytanie: jaka to i czyja ręka wysunęła się z jasnego nieba, gwałtownie obróciła kierownicę dwuosobowego triumpha i wbrew mojemu oporowi i mojej woli poprowadziła samochód prosto na pędzącą ciężarówkę, tak że wyrznąłem w jej bok. Wszystko wydarzyło się w ciągu paru sekund — pamiętam to jednak bardzo dokładnie.

Sukces życiowy powinien uzbroić człowieka, dać mu jakąś możliwość obrony przed duchami czy podświadomością, czy przed jakąkolwiek nieznaną siłą. Tyle przynajmniej można by oczekiwać od sukcesu. Lub od pieniędzy. Lecz ani jedno, ani drugie mnie nie obroniło. Byłem bezsilny — powtórzę to jeszcze raz — wobec mocy owej „ręki” czy czymkolwiek było to, co gwałtownie pozbawiło mnie panowania nad moim triumphem TR 4, poprowadziło go w ściśle określonym kierunku i wreszcie wpakowało mnie na tę ciężarówkę.

Wydarzenia bezpośrednio prowadzące do wypadku nie wyjaśniają jego przyczyn. Prawda, przed jedenastu miesiącami wyrzekłem się dziewczyny, do której byłem bardzo przywiązany. Lecz w ciągu tych miesięcy zrobiłem z sobą porządek, właściwie znakomicie sobie radziłem. Moja żona, Florence, i ja byliśmy przedmiotem zawiści wszystkich małżeństw w Beverly Hills i Bradshaw Park. Złota Para! Obdarzono nas tym przydomkiem właśnie podczas owych jedenastu miesięcy — od dnia, kiedy wyrzekłem się Gwen, do dnia mojej kraksy. Wielu znanych mi mężczyzn w jakimś okresie życia stanęło wobec konieczności dokonania podobnie bolesnego wyboru, dokonało go — i z czasem wszyscy zainteresowani odzyskali równowagę ducha, być może czując się czegoś pozbawieni, lecz za to o wiele pewniej.

Wiedziałem przecież, że muszę się wyrzec Gwen. Wiedziałem, że nieuchronnie zbliża się ta chwila, kiedy można jeszcze odejść bez wielkiego bólu, bez trwałych ran dla którejkolwiek ze stron, zanim przyjdzie następna chwila, kiedy komuś stanie się krzywda. Doskonale zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się narażam, co więcej, ciągle sobie powtarzałem: skończ z tym, chłopie, póki nie jest za późno.

Zadawałem sobie zasadnicze pytanie. Chcę powiedzieć, że kiedy się przeżyło z kobietą dwadzieścia jeden lat, jak ja z Florence, to w takim związku jest coś wartościowego. I co tu ukrywać, rozwody są kosztowne. Nie znałem właściwie tej dziewczyny lub, prawdę mówiąc, znałem ją doskonale z

pewnej strony — znałem najmniejszą wypukłość i każde zagłębienie jej ciała.

Do licha, myślałem, za wiele mam do stracenia. Bo miałem wówczas ustaloną pozycję — byłem wypłacalny, urządzony do końca życia. Byłem właścicielem pięknego domu w Bradshaw Park w Los Angeles i miałem (wyda się to absurdalne, wiem o tym) najfajniejszy trawnik w całej okolicy, z cudownymi roślinami, które sam zasadziłem; miałem też naprawdę duży zbiór płyt z prędkością odtwarzania siedemdziesiąt osiem obrotów na minutę, z wieloma białymi krukami, dwa cenne oryginalne rysunki Picassa, lodówkę mogącą pomieścić metr sześcienny żywności, no i miałem trzy samochody: continental dla Florence, karman gnię dla mojej córki Ellen i triumpfa TR 4, który później miałem rozbić. Do tego dochodził jeszcze basen. Była to bardzo wysoka cena za dziewczynę do łóżka, choćby nawet wspaniałą! Kiedy przyglądałem się całemu temu bogactwu i swojej rodzinie, myślałem: w co ja się, do jasnej cholery, pakuję? Każdy mężczyzna doskonale zrozumie, o co mi idzie, zrozumieją mnie zwłaszcza Europejczycy, którzy wbrew wrażeniu, jakie na ogół sprawiają, są znacznie mniej romantyczni od nas i naprawdę doceniają wartość majątku.

Zacząłem się zachowywać jak nieszczęsny idiota z powodu tej dziewczyny, tej Gwen. Z początku spotykałem się z nią dwa, może trzy razy na tydzień, nie burząc powierzchni mojej szacownej egzystencji. To mi odpowiadało. Na przykład, jadąc do biura, przystawałem przed pewnym motelem i wynajmowałem pokój. Potem przed południem dzwoniłem z biura do Gwen. Ona też pracowała (nikt właściwie nie wiedział, co robiła) w firmie Williams i MacElroy, gdzie byłem członkiem zarządu. Mówiłem jej, do jakiego motelu ma przyjść, i podawałem numer pokoju — powiedzmy, pokój pięćset trzydzieści pięć. Potem oboje znajdowaliśmy jakiś pretekst, żeby się urwać na parę godzin. Jako jeden z szefów miałem znacznie większą swobodę ruchów niż ona. W owych czasach cieszyliśmy się nawet

godziną przeznaczoną na lunch. Przyjeżdżałem do motelu pierwszy, wieszalem na drzwiach kartkę z napisem: „Nie przeszkadzać”, zamykałem je, lecz nie na zasuwę, spuszczałem rolety, rozbierałem się, gasiłem światło i leżałem, czekając na nią. Kiedy przychodziła, zamykała drzwi na zasuwę, bez słowa rozbierała się i... nie da się opowiedzieć tego, co się potem działo, tyle tylko że bardzo mało rozmawialiśmy. Ekscytowało nas łączenie się w ciemności, jakbyśmy byli parą nieznajomych. Trwaliśmy przy tym.

Potem napadło mnie coś, czego nie potrafiłem opanować. Mężczyźni rozumieją, że mam na myśli ów rozpaczliwy stan, w który popada się, mając czterdzieści trzy — mój wiek — czterdzieści pięć, siedem czy czterdzieści dziewięć lat. No i zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, tańczyłem już całkiem inaczej, pod całkiem inną muzykę.

Nie wystarczyło mi już spotykanie się parę razy na tydzień w motelowym pokoju, przestałem się liczyć z czymkolwiek, całowałem się z nią po kątach barów, gdzie nieuchronnie musiano nas widzieć, lub wyjeżdżałem z nią na plażę i wylegiwałem się obok niej. Musiało to naturalnie dotrzeć do Florence. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy podświadomie chciałem, żeby się o tym dowiedziała.

Niebezpieczeństwo nie polegało na tym, że tak często spotykałem się z jakąś dziewczyną. Bo przecież i do tej pory zawsze kogoś miałem. Tuż przed Gwen, ściślej mówiąc, w okresie kiedy ją poznałem, miałem wiele fantastycznych dziewcząt. Niebezpieczeństwo kryło się w tym — słyszeliście to już nieraz — że byłem coraz bardziej zakochany w Gwen. A już przed laty, po takim samym epizodzie, postanowiłem, że nigdy więcej nie narażę się na takie uczucie. Zrozumiałem — lub tak mi się zdawało — wagę obojętności kończącej romans. Mimo to, co tu ukrywać, znów wpadłem.

Po pierwsze dostałem obsesji na punkcie Gwen: łamałem sobie głowę, gdzie się podziewa, kiedy nie jest ze mną, więc nie ważyłem się rozstawać z nią na zbyt długo. Natura nie znosi pustki, a myśl o wolnej i niezaspokojonej Gwendolyn

Hunt sycącej pragnienie (z kimś innym) w dżungli Los Angeles... po prostu nie dawała mi spokoju.

Był jeszcze inny zły znak. Przejawił się w pracy. Przestała mnie interesować. Zanim się obejrzałem, moja pozycja zawodowa, a co za tym idzie i konto bankowe oraz spokój mego ducha zostały zachwiane.

Następny znak ostrzegawczy: niewiele czasu minęło, a nie potrafiłem tego robić z żadną inną dziewczyną prócz Gwen. I nie dlatego, że ona mnie zanedbto wyczerpywała. Po prostu nie chciałem nikogo innego. Pojąłem, że źle ze mną. Dotychczas nigdy nie byłem wierny żadnej kobiecie. Wiedziałem z doświadczenia, że tak jest najbezpieczniej. Ale teraz...

Zabrałem się nawet do likwidowania swojego haremu. Zapraszałem te dobre z natury dziewczyny po kolei na drinka lub na lunch i oświadczałem każdej, że nie będziemy się więcej widywać. Niektóre zareagowały w sposób nie bardzo dla mnie pochlebny. Pierwsza się rozpłakała. To było okay, tego się spodziewałem. Lecz oczy następnej powędrowały niemal natychmiast (siedzieliśmy U Romea) kolejno ku wszystkim mężczyznom, którzy przyszli na lunch w płynie. Czysty przejaw instynktu samozachowawczego, jak sędzę, lecz ona nie poczekała nawet na espresso! Inna znów natychmiast poprosiła mnie o pożyczkę, której nie miała najmniejszego zamiaru zwrócić.

Tak czy inaczej, pozbyłem się ich wszystkich. I rzecz dziwna, nie zrobiłem tego na żądanie Gwen. Sam tego chciałem. Po raz pierwszy w życiu byłem wierny jednej kobiecie — jej, no i Florence, naturalnie.

Gdyż ciągle sypiałem z żoną raz, może dwa w tygodniu. Nie, raczej raz. Z początku żona nie wyczuła, że coś się we mnie zmieniło. Bo już na długo przedtem nie bardzo jej pożądałem. Nie podniecała mnie. Ale, do licha, raz na tydzień nie jest tak źle, jeśli się zważy, że żyliśmy z sobą od dwudziestu jeden lat i że pobraliśmy się w zbyt młodym wieku, zwłaszcza ja byłem za młody. Poza tym Florence miała obecnie

czterdzieści trzy lata, byliśmy rówieśnikami niemal co do miesiąca, i w tym wieku mężczyzna jest jeszcze okay, lecz jej pośladki były już mocno sflaczałe, ciało miała w wielu miejscach pofałdowane, obwisłe... sami wiecie. Martwiła się tym, biedactwo. Któregoś dnia przyłapałem ją na tym, że przygląda się sobie przez ramię w lustrze — oglądała swoje nogi z tyłu. Wiedziała, co się dzieje. Zaczęła na przykład nosić inne kostiumy kąpielowe. Jednoczęściowe, zakończone malutkimi spódniczkami, i krzywiła się na dziewczęta, które przychodziły na nasz basen w bikini kończących się równo z linią włosów łonowych. Florence zaczęła wynajdywać wymówki, żeby ich nie zapraszać, nie z powodu tych kostiumów naturalnie, lecz dlatego, że były zbyt hałaśliwe albo rzucały niedopałki na trawnik, albo dlatego, że tak przyjemnie jest popływać sobie w spokoju bez obcych. Wiedziałem jednak, o co jej naprawdę szło. Nogi tych dziewcząt były bez skazy. Więc kiedy przyłapałem żonę oglądającą swoje nogi w lustrze, szczerze jej współczułem. Ale natura nie jest fair, a życie nie jest sprawiedliwe; i nic nie mogłem na to poradzić. Byliśmy małżeństwem od dwudziestu jeden wlokących się lat, więc nie ma cudów.

No więc straciłem nieco kontrolę, a potem trochę bardziej niż nieco. Dotychczas zawsze chciałem się, że to ja kieruję swoim życiem, a nie życie mną. Florence i ja bez niepotrzebnych słów doszliśmy do pewnego porozumienia, czy też układu, że tak długo jak nie wystawię jej na pośmiewisko wśród naszych przyjaciół ani nie upokorzę jej publicznie, ona będzie przymykała oczy na moje sprawki. Ale może naprawdę nie wiedziała. Nie miałem co do tego pewności. Problem polegał na tym, że ten układ był tak samo nieodłącznym atrybutem naszego małżeństwa i gospodarstwa, jak piec czy ubezpieczenie, jak gramofon i konta bankowe, jak trawnik i nasz portfel akcji.

Miałem prawdziwy kłopot. Kochałem Florence. Co znaczy cholernie mało, wiem o tym; w naszych czasach wszyscy kochają wszystkich. Idzie mi o to, że byliśmy mocno związani.

Poznaliśmy się, kiedy ja byłem na studiach, i od tego czasu ona była moją dobrą wróżką. Kiedy się poznaliśmy, byłem do niczego, siedziałem skulony w ciasnej norze, z podkurczonymi pod siebie nogami, gotów skoczyć i gryźć, szczerząc kły z przerażeniem w oczach. Ona była pierwszą osobą, która odważyła się wyciągnąć do mnie rękę. Obłaskawiła mnie i uspokoiła, wyprowadziła z mojej samotniczej jamy. Nie od razu jej się to udało, parę razy zanurzyłem zęby w jej delikatnej patrycjuszowskiej dłoni — więcej niż parę razy. Ona jednak nie dawała za wygraną i w końcu odniosła zwycięstwo. Potem zabrała się do prostowania mnie — wyciągania z przyczajanej, a może skulonej, postawy, jaką do tej pory przybierałem.

Florence dostrzegła we mnie coś, czego nikt inny nie dostrzegł. Widać to było w jej spojrzeniu — pamiętam przychylny wyraz jej oczu, kiedy po raz pierwszy pozwoliła mi zajrzeć w nie głęboko, a ja po raz pierwszy naprawdę je zobaczyłem — otwarte, łagodne i ciepłe w delikatnej różowej twarzy. Pamiętam też inne rzeczy z tamtych czasów: jej włosy bez ondulacji, nieukładane przez fryzjera, znające jedynie grzebień i szczotkę. W owych dniach wystarczyło, żeby na mnie spojrzała, nie musiała mówić: „wierz mi” lub „mówię prawdę”, jak to przeważnie bywa między ludźmi. Z samego jej spojrzenia wiedziałem, że wierzy w moją wartość, niezależnie od tego, co na mój temat myśleli inni, że mnie kocha, niezależnie od tego, czy ja ją kocham, że jest moja na wieki, niezależnie od tego, czy ja jej pragnę, czy nie, bez żadnych pytań.

Od samego początku stanęła po mojej stronie. Wzbudziła we mnie wiarę, że wystarczy, bym się wyprostował, przestał się kulić czy czaić, a będę kimś. Wzbudziła we mnie wiarę, której nikt inny nie potrafił dotąd we mnie wzbudzić, wiarę we własną wartość. Jej wiara przemieniła mnie. Florence była moją dobrą wróżką, gwarancją mego powodzenia.

Takiej osobie jest się coś winnym.

Poza tym z kimś takim człowiek boi się rozstać. Przez te

wszystkie lata często od niej uciekałem, lecz nigdy nie odchodziłem zbyt daleko i zawsze miałem w kieszeni bilet powrotny.

Stanałem więc wobec konieczności wyboru. Pytałem siebie, co czuję naprawdę. Próbowałem dokonać introspekcji bez pomocy psychoanalityka. Stwierdziłem, że na swój swój nędzny sposób kocham je obie. Nie sądzę, by jakikolwiek psychoanalitik pozwolił mi dojść do takiego przekonania. Lecz ja nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mężczyzna nie mógłby, a nawet nie miałby kochać dwu lub trzech kobiet jednocześnie. I to kochać naprawdę, całym sercem. Bo w gruncie rzeczy, co można nazwać lepszym: brzoskwinie czy gruszkę?

Za późno już jednak było na tego rodzaju rozumowanie. Wypróbowałem raz tę filozofię na Florence. Odwołała się do biologii. Powiedziała, że chociaż uważam siebie za Greka, to jednak muszę mieć turecką krew w żyłach, gdyż w pewnych dziedzinach po prostu nie myślę kategoriami zachodniego mężczyzny. Kiedy odparłem, że myślę jak większość znanych mi zachodnich mężczyzn, tyle że oni się do tego nie przyznają, miała minę osoby, która nie chce się sprzeczać.

Pewnego dnia Gwen postawiła mi ultimatum. Jechaliśmy na plażę. Umówiliśmy się, że przez Sepulveda Boulevard w pobliżu plaży pojedziemy otwartym samochodem; niech nas widzą, jak siedzimy przytuleni do siebie, i niech się dzieje, co chce. Bliżej Beverly Hills, zgodnie z naszymi ustaleniami, miałem podnieść dach i od tej chwili ona powinna siedzieć odsunięta ode mnie, tuż przy drzwiach, z ciemnymi okularami na nosie, a kiedy będziemy mijali niektóre przecznice i domy, miała się zsunąć z siedzenia, żeby nikt jej nie zobaczył.

Gdy wracaliśmy tego dnia z plaży, słońce prażyło przez smog i toksyczna bryza rozwiewała złote włosy Gwen — Boże, jak ja kochałem jej włosy, takie miękkie, jedwabiste! Jako Grek ubóstwiam jasne włosy. Moje włosy są z natury czarne i trochę tłuste, kiedyś bardzo gęste, wówczas zaczynały już się przerzedzać, kiedyś bardzo czarne, wówczas zaczynały

już siwieć. Teraz jestem całkiem siwy i zdecydowanie łysiej.

Otóż kiedy przystanąłem, żeby podnieść dach, Gwen nie zgodziła się na to. Na nic innego też nie. Nie chciała siedzieć przy drzwiach samochodu, nie chciała zsunąć się z siedzenia, kiedy nadeszła właściwa chwila, choć w sobotę ulice były pełne spacerujących. Nie włożyła nawet ciemnych okularów. Powiedziała, że ma w nosie naszą umowę i więcej nie będzie udawać, że sprawy ciągną się już dostatecznie długo i powinienem się zdecydować.

Znalazłem się między młotem a kowadłem. Sytuacja nienowa dla mnie. Zawsze cierpiałem na „dwoistość”, wkrótce wyjaśnię, o co chodzi. Brnąłem w ten romans, mówiąc sobie, że mogę w każdej chwili z nią zerwać, że to tylko pociąg fizyczny. A jednak nie był to tylko pociąg fizyczny. To, co się ze mną działo, było czymś innym i żeby to opisać, muszę się cofnąć o jedenaście miesięcy przed wypadkiem i jeszcze dalej wstecz o rok, do dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Gwendolyn Hunt.

Zdarzyło się to w sali posiedzeń w firmie Williams i MacElroy; na pierwszy rzut oka poczułem do niej antypatię.

Tak się złożyło, że był to dzień mojego triumfu. Firma produkująca papierosy Zephyr, należąca do najpoważniejszych klientów naszej agencji reklamowej, ledwie przędła. Ten gatunek papierosów był zagrożony. Konieczne było przypuszczenie całkiem nowego szturm do nabywców. Nikt jednak nie miał określonej koncepcji nowej reklamy. Było to krytyczne spotkanie dla agencji. Bez nazywania rzeczy po imieniu wiedzieliśmy, że jeśli Zephyr nie otrzyma pomocy od nas, poszuka jej sobie gdzie indziej.

Nasze wpływy z tej firmy były tak znaczne, że Finnegan zwolnił mnie z obowiązku zajmowania się innymi reklamami i powierzył mi Zephyr. Jego instrukcje były lapidarne: „uratuj te wpływy”.

Jakże przybici byli ludzie z Zephyra na tamtym spotkaniu! Nasi pracownicy wyglądali jeszcze gorzej, siłąc się na optymizm. Wszyscy mieli tego rana diabelnego pietra.

Stosowali uniki, aby tylko dobrnąć do jakiegoś happy endu, posiedzenie miało mniej więcej taki przebieg:

Mówi Eddie Anderson — czyli ja, niezastąpiony Eddie.
Cytat:

Panowie pozwolą, że przedstawię, jak to będzie wyglądało w praktyce. Podaj mi notes, Benny, bądź tak dobry. Proszę spojrzeć — zacząłem szkicować — pokazujemy na przykład takiego kwitnącego starca: czerstwe policzki, włosy siwe, ale nie za nadto, panowie rozumieją... Na drugim planie będą jego wnuki, a może nawet jego własne dzieciaki — to nie powinno być całkiem jasne, a w środku przy nim naprawdę piękna kobieta, też w nieokreślonym wieku, pojmujecie. Czy to od niego dostała pierścionek, który ma na palcu? Nie powinna być zbyt młoda — mniej więcej taka... Nie, z bardziej dojrzałym biustem, może młodo wyglądająca czterdziestka, i wpatrzona w starszego pana, o tak: z dystynkcją, owszem, ale, kapujecie, nie ma żadnych barier dla seksu w naszych czasach. Starszy pan musi robić wrażenie, że ciągle jeszcze jest zdolny do rzeczy, do jakich my chcielibyśmy być zdolni w przyszłości — rozumiecie, panowie? A napis? Bardzo prosty: „Przez całe życie palcie nieszkodliwe zephyry”. Wybijamy graficznie słowo „nieszkodliwe”, żeby wyglądało też nieszkodliwie. Czy to nieszkodliwość papierosów jest w tej chwili największą zadrą? Nawet w Anglii! W tym cały szkopuł. Wszędzie. Na całym świecie. Proszę zwrócić uwagę, że nie wymieniam strasznego słowa. Mówię tylko: „Zephyr to nieszkodliwy papieros”. I wszyscy rozumieją. Jest to w dodatku chwyt, którego dotąd nikt nie odważył się zastosować. Albo jeszcze inaczej, proszę spojrzeć: pokazujemy faceta o wyglądzie lekarza, nie mówimy wcale, że to lekarz, nie dajemy żadnych napisów, ale facet ma na sobie

biały kitel i taka sama kobitka patrzy na niego — dama, rozpustna, ale szykowna, rozumiecie? On wygląda jak tur. Tak! Napis... Słucham? Czy ktoś ma jakiś pomysł? „Ludzie, których szanujemy, palą nieszkodliwe papierosy Zephyr”. Pojmujecie, ani słowa o tym, czy to lekarz, czy ktoś taki. Ale trafimy w sedno tego, co wszystkich niepokoi, prawda? I graficznie wybijamy „nieszkodliwe” w taki sposób, że słowo to zdaje się płynąć w powietrzu, jakby pędzone zachodnim wiatrem. Nieszkodliwe! Kiedy pokażemy zephyry w telewizji, damy przy tym szum wiatru w wierzbach, a może nałożymy na obraz papierosa zdjęcie plenerowe — drzewa, wieś, nieszkodliwe białe obłoczki. Bardzo prosta sprawa. Jak każdy naprawdę dobry pomysł, i ten leżał przez cały czas na ulicy, że tak powiem. Trzeba było tylko schylić się, aby go podnieść. Mógł to zrobić każdy z panów. Tak się złożyło, że zrobiłem to ja.

To była dopiero bomba. Zapomnieli języka w gębach — wszyscy ci potentaci od zephyrów. Nie było już najmniejszej wątpliwości, jaka ma być reklama ich papierosów. Nieszkodliwe! To nie wymagało przegłosowania! Siedzieli, posyłając mi nieszkodliwe uśmiechy, szczerze — chciałem powiedzieć — gdyż liczyli, że ich akcje, które mieli w wewnętrznych kieszeniach marynarek, znów zyskają na wartości. Wszyscy rzucali mi pełne wdzięczności uśmiechy.

Wszyscy prócz tej dziewczyny w kącie, do której od pierwszego wejrzenia poczułem antypatię. Nie wiedziałem, kim jest. Właściwie ona też uśmiechała się do mnie, ale nie był to uśmiech uznania. Prawdę mówiąc, był jak wiadro zimnej wody, którym chlusnęła mi w twarz całkowicie obca osoba. Wlepiłem w nią oczy. I kiedy łamałem sobie głowę, kim, do diabła, może być, spuściła wzrok.

Wszedł kelner z alkoholami i zaczęło się oblewanie. Zjawił się drugi kelner z tacą przekąsek. Niewiarygodne, jak to

bractwo rzuciło się na żarcie i picie; nie tylko dlatego, że każdy klient jest w głębi duszy pieczeniarem, ale dlatego, że im kamień spadł z serc. Wyrzucali teraz cały balast za burtę i ogromny balon optymizmu wzleciał wysoko. Wobec tego zabrałem całe towarzystwo do La Rue na lunch. Tam po raz drugi zwróciłem uwagę na Gwen.

Sam wybrałem znakomite posiłki z menu. Przecież Finnegan kazał mi uratować wpływy za wszelką cenę, a on jest szefem. Towarzystwo ostro zabrało się do jedzenia, a pili, jakby nazajutrz miała być ogłoszona prohibicja. Wreszcie wstał sam prezes spółki akcyjnej Zephyr i w ciszy, która naturalnie zapadała, ilekroć zabierał głos, rozległy się jego słowa:

— Jak ty to robisz, Eddie? Do wszystkiego potrafisz wpakować seks. — Uśmiechnąłem się, jakby idąc za wskazówką reżysera. — Jesteś Grekiem, prawda?

— Tak — odparłem.

— Wiedziałem, że coś w tym musi być — zakończył prezes, z podziwem kręcąc głową.

Ogólny śmiech przypieczętował mój triumf. Wszyscy cisnęli się hurmem, by wskoczyć na „nieszkodliwy” wóz triumfatora.

W tym momencie dziewczyna naprawdę przyciągnęła moją uwagę. Nie tylko nie dostrzegała gwiazdy tego spotkania, czyli mnie, nie tylko odzywała się z kwaśnym uśmieszkiem, kiedy się w ogóle odzywała, ale całkiem przebrała miarę. Nie uczestniczyła w oblewaniu, porozmawiała chwilę z jakimiś ludźmi przy sąsiednim stoliku, najwyraźniej nie o zephyrach ani o „nieszkodliwych papierosach”, ani o mnie, potem bez słowa wyjaśnienia, nie przepaszając nikogo, wstała i wyszła.

Na następnym dużym spotkaniu w sprawie reklamy zephyrów znów siedziała ze spuszczoną głową, w tym samym kącie, jak poprzednim razem, robiąc jakieś notatki lub coś rysując podczas mojego przemówienia. Kiedy skończyłem, wszyscy bez wyjątku wyrazili swoją aprobatę, lecz ona podniosła na moment głowę i znów spojrzała na mnie z tym swoim uśmieszkiem.

— Kto to jest, do diabła? — spytałem faceta siedzącego obok mnie. Nie dbałem o to, czy ona słyszy.

— Należy do osobistego personelu Finnegan — odszepnął.

W następnych kilku tygodniach, kiedy wytoczyliśmy ciężkie działa nowej kampanii reklamowej papierosów Zephyr, mieliśmy wszyscy mnóstwo okazji do zapoznania się z Gwen. Zawsze była obecna na dyskusjach, ale nikomu nie udało się zawrzeć z nią znajomości. Wzbudziło to tylko ogólną ciekawość. Wszyscy pytali wszystkich, kto to jest. Nikt jednak nie wiedział. Zaczęła nawet przychodzić na zebrania Rady Rewizyjnej (Rada była naszym sądem najwyższym, naszym organem nadrzędnym, ja zaś byłem jej członkiem). Lecz Finnegan, który przewodniczył na tych zebraniach, i tylko na tych, nie przedstawił jej ani nie wyjaśnił, jakie zajmuje stanowisko. Miał podobno raz powiedzieć: „Ona ma w sobie przyrząd do wykrywania bzdur”. Tyle wiedzieliśmy. Zależało mu, jak sądzę, by pozostała zagadką w naszej agencji.

Finnegan już w przeszłości nieraz zatrudniał takie typy, które należały do jego osobistego personelu. Jedna z jego teoryjek głosiła, że to bardzo pożyteczne mieć w biurze całkowicie negatywnie nastawioną osobę, kogoś, kto zawsze i w każdej sytuacji powie najgorsze rzeczy. Jego filozofia dotycząca efektywnie działającej firmy zakładała konieczność liczenia się z oceną negatywną kogoś z personelu, zanim taka ocena z zewnątrz dzieli człowieka obuchem w głowę — lepiej, by swój wykpił jakąś kampanię reklamową, zanim uczyni to publiczność. Bo wówczas ma się czas coś w tej sprawie zrobić.

Więc panna Hunt (wiele krążyło kalamburów związanych z jej nazwiskiem) coraz częściej pojawiała się na zebraniach, siadywała w swoim kącie, nigdy nic nie mówiła, ale też nigdy nie przeoczyła żadnego posunięcia. I nie upłynęło wiele czasu, kiedy w biurze zrobiła się wokół niej nieprzyjemna atmosfera. Zawsze coś tam rysowała albo robiła notatki na zebraniach, nikt nie wiedział, co to właściwie było, więc

próbowano zajrzeć jej do notesu, a ponieważ to się nikomu nie udało, wyteżano uwagę, kiedy przyłożyła ołówek do papieru, jak gdyby w tym krył się klucz do odgadnięcia jej funkcji. Personel bardzo szybko doszedł do pewnej konkluzji. Przewano Gwendolyn Hunt Szpiclem Finnegana. W każdym pokoju, do którego wchodziła, zachowywano się tak, jak gdyby z tego pokoju prowadził podsłuch prosto do gabinetu szefa.

Sądzę, że doprowadzała mnie do wściekłości bardziej niż resztę personelu dlatego, że w owych czasach potrzebowałem zachwyty lub — żeby nazwać rzecz po imieniu — kadzenia. Nie mogłem po prostu żyć bez kadzideł. Usychałem bez pochwał. Właśnie dzięki pochwałom udało się Florence kiedyś mnie rozmrozić. Pochlebstwa? Nazwijmy to wiarą we mnie. Ale Gwen miała szyderczą minę, kiedy okazywano mi podziw. Któż ona jest, do cholery, myślałem, żeby szydzić ze mnie, i wszystko we mnie zaczynało się gotować. Czyż nie doszedłem do wysokiej pozycji w swoim zawodzie? A jeżeli nawet zawód ten opierał się głównie na szachrajstwie, to i tak pozostawało kwestią otwartą, czy jakiś produkt sprzedałby się bez naszej pomocy — z pewnością nie miało to wpływu na masę towarową, którą nasz kraj musi mieć w obrocie, aby osiągnąć pożądane wyniki.

Jednak ja znakomicie robiłem swoją robotę, do licha! Wystarczyło, żebym wszedł do pokoju pełnego rozjątrzonych sprzeczką facetów lub do któregoś z tych wielkich szklanych pudeł nazywanych kabinami programów reklamowych, przypominających klatki żmij, gdzie wszyscy się wili i próbowali kasać — otóż na mój widok żmije skręcały się spokojniutko, że aż miło, kładły małe spiczaste łebki na swoje splety, i było po robocie! Zrobił się z tego swoisty zwyczaj. Koledzy mówili: „Nie ma się co wysilać, wystarczy, żeby się ten szczywany Eddie Anderson pokazał”.

Lecz pannie Hunt ani trochę nie imponował nieodzowny Eddie. Działała mi już na nerwy. Pewnego dnia przesiedziała kamieniem na zebraniu, na którym udało mi się zapanować

nad chaosem i doprowadzić do porozumienia, a kiedy wstałem (zawsze kłamałem, że mam inne pilne spotkanie, bo ojciec nauczył mnie, że ludzie na wysokich stanowiskach ciągle się gdzieś śpieszą) i skierowałem się ku wyjściu, zbierając po drodze pochwalne uśmiechy, ona też posłała mi uśmiech, ale bez cienia uznania. Ze złością uświadomiłem sobie nagle, że z jakiegoś perwersyjnego powodu zaczynam traktować jej kwaśny uśmiech jako przejaw mojego własnego sumienia. Naprawdę czekałem zdenerwowany na jej reakcję. Zacząłem automatycznie odwracać się w jej kierunku, żeby zobaczyć, co ona myśli. I za każdym razem chlust — jak w komiksach — wiadro lodowatej wody.

Owego pamiętnego dnia poszedłem za nią, kiedy zobaczyłem ją w holu idącą spokojnym krokiem, choć wszyscy naokoło się gdzieś śpieszyli. Przesuwała się między ludźmi, jak gdyby nikogo nie dostrzegała, niczym młoda lwica, istota wyższa, która nie wymaga od nikogo zrozumienia, nie potrzebuje ani sympatii, ani przyjaźni, żadnego uczucia potrzebnego innym ludzkim zwierzętom, aby mogły podołać codzienności.

Podszedłem do niej, złapałem ją za ramię i gwałtownie obróciłem ku sobie. Nie wydawała się wcale zdziwiona, przeciwnie, zachowywała się tak, jak gdyby od dawna spodziewała się tej zaczepki.

— Dlaczego pani ciągle się uśmiecha, do diabła?

— Ciągle? — Pomilczała chwilę. — Kiedy? — Głos jej brzmiał nieoczekiwanie miękko.

— Na zebraniach. Siedzi pani zawsze i... i jak teraz... uśmiecha się pani. Co to znaczy?

— Coś mnie prawdopodobnie bawi. Czy to panu przeszkadza?

— Owszem, kiedy ja wywołuję ten uśmiech. Pani zdaje się kpić.

— Niech się pan nie przejmuję. Ja tylko mam taki wyraz twarzy.

Odeszła. Lecz wciąż czułem w dłoni, jakbym dotykał jej

ramienia — bardzo smukłego i jędrnego. A w oczach pozostał mi obraz jej szyi i ramion koloru bladej cytryny. W powietrzu wisiał aromat, obietnica tego, co miało nastąpić. I kiedy nadeszło, kiedy po jakimś czasie rozebrałem ją, przekonałem się, że jest właśnie taka, jak sobie wyobrażałem: biała i delikatna. Skóra na jej ciele, zwłaszcza między udami, przypominała indyjski jedwab. Każda cząsteczka tego ciała była nieskazitelna, delikatna, jasna.

Od tego dnia ani przez chwilę o niej nie zapomniałem. Zauważyłem, że popisuję się przed nią na spotkaniach z klientami — popisy te doprowadzały mnie czasem do wyjątkowych sukcesów, kiedy indziej znów do utraty klienta. Lecz zawsze tkwiła we mnie świadomość, że moim sędzią ostatecznym jest ta zgrabna dziewczyna z krytycznym uśmiechem na ustach, usadowiona w kącie i robiąca notatki lub udająca, że je robi.

Zapytałem ją kiedyś:

— Dla kogo robisz te notatki?

— Piszę książkę — odparła z uśmiechem — aby nic z tego nie poszło w zapomnienie. Chciałbyś dostać egzemplarz?

Któregoś dnia zerknąłem do jej notatnika, kiedy poszła do toalety. Był tam rysunek mojej ręki — chyba mojej — raczej niewyraźny, tylko kciuk był bardzo dokładnie narysowany. A obok rysunku mojego kciuka widniał rysunek penisa w pozycji wiszącej, pokaźnej długości. No cóż, dziewczęta fantazjują prawdopodobnie na pewne tematy tak jak mężczyźni.

Wszyscy w biurze łamali sobie głowy — dlaczego szef ją toleruje, dlaczego jej nie wyleje, skoro ona tak otwarcie okazuje swój cyniczny stosunek do wszystkiego, co robimy? Otóż przyglądałem się jej teraz bardzo dokładnie i zaczynałem rozumieć, co Finnegan w niej widzi. Podobnie jak reszta personelu nie doceniałem dawniej Gwen.

Z początku nie wiedziałem, co myśleć — czy ona jest bardzo inteligentna, czy wręcz głupia i czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Jasne było, że nie studiowała na wyższej

uczelni. Rzucało się to w oczy, bo nasza firma roiła się od absolwentek ekskluzywnych college'ów Vassar i Radcliffe. Te wykształcone dziewczęta nigdy się nie zdradzały ze swoimi opiniami, nawet po kilku szklaneczkach whisky. Owszem, wygłaszały opinie, tylko pytanie czyje?

Gwen, jak przekonałem się z czasem, nigdy nie mówiła o rzeczach, o których nic nie wiedziała. Nie powtarzała opinii Maxa Lerner'a czy Podhoretza albo Alfreda Kazina, albo opinii magazynu „Time”. Mówiła o tym, co знаła z własnego doświadczenia lub do czego doszła własnym rozumem. Lecz to, o czym mówiła, znała na wylot. Jeśli to byli ludzie, to albo z nimi żyła kiedyś, albo pracowała, albo się kłóciła, albo musiała z nimi przebywać; jeśli mówiła o jakichś sprawach, były to tylko takie sprawy, które albo jej dokuczyły, albo ją na śmierć zanudziły, albo dobrze dały się jej we znaki, albo które dobrze jej wbito do głowy — w przeciwnym wypadku milczała. Wygłaszała własne prawdy i nic poza tym.

Nie ulegało też wątpliwości, że życie potraktowało ją brutalnie. A przecież były dni, kiedy jaśniała niewinnością. I kiedy wreszcie doszło między nami do zbliżenia, nie sposób było jej się oprzeć.

Stało się to na przyjęciu firmowym. Masę głupstw napisano o takich imprezach. Ogólnie biorąc, i to przyjęcie było równie nudne jak inne tego typu. Przesiedzieliśmy z Gwen kilka godzin w kącie gabinetu Finnegan'a, popijając i zabawiając się rozmową. Zacząłem sądzić, że ona chce, by prezes zobaczył ją pijącą ze mną. Jeśli tak, to Finnegan był zbyt szcwanym lisem, by dać coś poznać po sobie, a nawet by sobie coś z tego robić. Kiedy poszedł do domu, większość gości zrobiła to samo. Po jakimś czasie Gwen i ja zostaliśmy sami. Przyszedł portier powiedzieć, że zamyka. Spojrzałem na nią.

— Może byśmy wypili jeszcze strzeżniennego — powiedziała. Więc odprawiłem portiera, mówiąc, że mam własny klucz i że zamknę biuro, kiedy będę wychodził. Dałem mu pięć dolarów.